

Na tropie dyrdymała ekonomicznego

"DZIŚ", nr 6 (213), czerwiec 2008, s. 175-177

Egzotycznie, dźwięcznie brzmiące określenie „mumbo-jumbo” pojawiło się w naszym kraju niedawno. W książce Francisa Wheena „Jak brednie podbiły świat”. Teraz powracają, wzbogacone, w najnowszej książce Grzegorza W. Kołodki „Wędrujący świat” (Wydawnictwo Prószyński i S-ka. Warszawa 2008, ss.). Jako swojskie, krajowe „durdymały”.

Durdymały neoliberalne. Prezentowane jako jedynie słuszne, niepodważalne, i bezdyskusyjne. „*Ekonomia nie jest nauką, jest wiedzą*” – przypomina obecny wykładowca akademicki, ale też były wicepremier i minister finansów. A także podróżnik, obserwujący zachodzące w świecie zmiany. To ważne, zwłaszcza kiedy pisze o skoku cywilizacyjnym w państwach azjatyckich. Dyskredytowanych przez polskie arcyliberalne media. Zachodnio- i europocentryczne.

Za podstawową brednię uważa Kołodko fundamentalne hasło There Is Not Alternative, popularnie zwane TINA. Czarujące rzeczywistość, „naukowo” dowodzące, że nie ma innej, skutecznej drogi rozwoju niż „niewidzialna ręka wolnego rynku”. TINA jest matką polskich „mumbo-jumbo”. Upowszechnianych przez krajowe, zwolnione od myślenia, media. Klasycznym „mumbo-jumbo” jest teza o wyższości podatku liniowego nad wszystkimi innymi. „Liniowy”, to zawołanie polityczne chadeckich liberalistów z Platformy Obywatelskiej i Leszka Millera z jego „prawdziwej lewicy”. Bo to instrument prosty w obsłudze i łatwo zrozumiały. Skuteczny. Wypróbowany.

Najczęściej zwolennicy liniowego wskazują na Rosję. Tam wprowadzony, zapełnił rychło kasę państwa, przyniósł pierwsze oznaki dobrobytu. Zachwyił skalą ściągłości. Tylko entuzjaści liniowego nie wspominają, bo może nie wiedzą lub wiedzieć nie chcą, że przed jego wprowadzeniem, w Rosji nie było żadnego powszechnego podatku od indywidualnych dochodów. Czyli też nawyku płacenia takiego świadczenia. Liniowy miał za zadanie oswoić poradzieckie społeczeństwo z tym co w kapitalizmie nieuchronne. I budowany aparat fiskalny też.

O wyższości gospodarki wolnorynkowej, całkowicie sprywatyzowanej nad planowaną, zwłaszcza tą z udziałem własności państwowej, stale słyszeliśmy. I nadal o tym głośno. Ciszej jest za to nad trumną programu powszechnej prywatyzacji. Pamiętacie te świadectwa udziałowe, które miały upodmiotowić ekonomicznie społeczeństwo, uczynić je zbiorowym właścicielem urynkwionych przedsiębiorstw? Nie pamiętacie, bo zwykle nie chce się pamiętać swoich frajerskich iluzji. Na programie „powszechnej” prywatyzacji zarobił ojciec dyrektor Rydyk i grupa ekonomicznych cwaniaków, zarządzających przekazanym im do „pomnażania” majątkiem. Oni też nie przypominają o tym opinii publicznej.

Wracając do wyższości wolnorynkowej, do popularnego, neoliberalnego poglądu, że tylko ograniczenie roli państwa w zarządzaniu, osłabienie jego ekonomicznej pozycji gwarantuje wzrost gospodarczy, skok cywilizacyjny. To „mumbo-jumbo” traktowane jest nadal w zajmujących się ekonomią mediach jak religijny dogmat. Wiara zaczyna się chwiać, kiedy trafia na Chiny, także Wietnam, na socjalizujące państwa Ameryki Łacińskiej. Chiny od 30 lat rozwijają się w najszybszym na świecie tempie. Mają gospodarkę rynkową, ale nadal sterowaną przez centralne i prowincjonalne ośrodki władzy. Jeśli utrzymają tempo rozwoju, to za 30 lat osiągną poziom USA. Czy na pewno? Przecież Stany Zjednoczone nie śpią. Warto już zastanowić się jak będzie wyglądał wtedy świat, skoro najszybciej rozwijają się gospodarki państw niedemokratycznych.

Jeszcze niedawno Bank Światowy, przygotowując pożyczki dla afrykańskich, azjatyckich państw rozwijających się, obwarowywał je twardymi politycznymi warunkami. Środki na rozwój, ale za demokratyzację systemu politycznego, szanowanie praw opozycji, no i przede wszystkim otwarcie rynku. Teraz dysponujące nadwyżką kapitału Chiny, Indie, Wenezuela, Rosja kredytują państwa Afryki, Ameryki Łacińskiej bez ideologicznych zobowiązań. Tworzą za to alternatywne wobec USA, państw Zachodu bloki gospodarcze, więzi kooperacyjne. A Bank Światowy wyprzedaje swoje rezerwy złota. Gdzie zawędruje tak tworzony świat?

W Polsce nadal lekceważy się azjatyckie gospodarki. Lekceważy się Rosję, bo popularne „mumbo-jumbo” głosi, że to „kolos na glinianych nogach”. Nie dostrzega się regionalnych sojuszków, np. Wenezueli-Kuby-Boliwii-Brazylii. To dalej Trzeci Świat, to dalej „dzikusy”. Rzadko wspomina się o

SOW-ie, czyli Szanghajskiej Organizacji Gospodarczej. Zrzeszającej już Rosję, Chiny, Kazachstan, Kirgistan, Uzbekistan, Tadżykistan. Stara się o przyjęcie Iran. Współpracują Indie i Mongolia. Obecnie SOW-a to ponad 1,5 miliarda ludzi. Z Indiami i Mongolią, to ponad 1/3 ludności świata. Dokąd wędruje świat? Gdzie wyrastają centra cywilizacji, czy gospodarki Zachodu stracą prymat? Czy bieda musi być dziedziczna, co robić, by wyrwać się z niej? I wreszcie, jak szacować rozwój państw, wedle jakich kryteriów? To tylko niektóre z pytań obecnych przy lekturze fascynującego „Wędrującego świata” Grzegorza W. Kołodki. Pamfletu na obowiązujący, poprawny politycznie neoliberalizm. I kopalni wiedzy. Ta jest szczególnie ważna w Polsce, gdzie ekonomia traktowana jest jak nauka, a raczej jak religia, pełna wiary w jedynie słuszne, dziś neoliberalne, dogmaty. Religia typowo polska, czyli wyprana z obserwacji, z wszelkiej wiedzy.

Piotr Gadzinowski